

miłość niemożliwa
argentyńskie noce
upragnione szczęście

S O F I A

CASPARI

w krainie
srebrnej rzeki



S O F I A
CASPARI

w krainie
srebrnej rzeki

tłumaczenie
PAULINA FILIPPI-LECHOWSKA

Tytuł oryginału: *Die Lagune der Flamingos*

Copyright © 2013 by Bastei Lübbe GmbH & Co. KG, Köln

Copyright © for the translation by Paulina Filippi-Lechowska

Opieka redakcyjna: Kinga Kasperek

Opracowanie typograficzne książki: Robert Oleś

Adiustacja: Marta Höffner / d2d.pl

Korekta: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl,

Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl

Łamanie: Sandra Trela / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kwiaty – © iStockphoto.com / Ateli,

koliber – © iStockphoto.com / IMPALASTOCK,

flamingi (litografia) – © iStockphoto.com / ilbusca

Rysunek kolibra na podstawie zdjęcia z iStockphoto.com –

© iStockphoto.com / IMPALASTOCK

ISBN 978-83-7515-346-0



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. 12 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki

Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Julianowi i Tobiasowi – za wszystko!

W nieskończonym bezmiarze, który nie
pozwala nawet określić, gdzie kończy się
ziemia i zaczyna niebo...

Domingo Faustino Sarmiento, przemysłowiec
i mąż stanu

Plan, zainicjowany w 1879 roku
z takim sukcesem i rozgłosem przez
ówczesnego ministra wojny, a obecnego
prezydenta Julia A. Rocę, należy
wszędzie doprowadzić do końca. Granice
[...] wewnątrz terytorium państwa
argentyńskiego powinny zniknąć. Strzały
dzikich Indian nie mogą nas przed tym
powstrzymywać. Ludność Argentyny
pragnie uwolnić się od mroków
podobnego barbarzyństwa.

fragment raportu Ministerstwa Wojny, 1881

Claus Hoff † ♂ Annelie Wienand ♂ Xaver Amborn ♂ Agnes †

Mina *1861

Philipp *1855

Irmelind ♂ Hermann Blum

Doña Ofelia ♂ Ricardo Santos ————— Carmencia

Humberto Santos ♂ Viktoria Hofmeister ————— Pedro Cabezas

Estella *1864

Paco *1866

Samuel *1837
Vroni *1839
Frank *1859

Elisabeth ♂ Heinrich Brunner

Eduard

Gustav ————— Corazon

Blanca *1865

1.

Anna ♂ Kaleb Weinbrenner

Marlena *1864

2.

♂ Julius Meyer

Leonora *1877

Magdalena (Lenchen)

CZĘŚĆ PIERWSZA

Esperanza – nadzieja

Esperanza, Santa Celia, San Lorenzo, Genua,
Tres Lomas, Chaco

1876–1878

ROZDZIAŁ I

Mina stała w swojej kryjówce jak skamieniała. Przez wąską szparę w drzwiach dokładnie widziała całą kuchnię. Obserwowała wszystko ze ściśniętym gardłem. Do środka wszedł właśnie Philipp, jej przyrodni brat. W porę go zauważyła i w ostatniej chwili zdążyła się ukryć w spiżarni. Na widok krwawych plam na jego twarzy i koszuli zrobiło się jej słabo. Stojąca na stole lampa olejowa rzucała upiorną poświatę na jego zakrwawione ręce. Spojrzał na nie z zadowoleniem, po czym sięgnął po marynarkę przewieszoną przez krzesło i wyjął z kieszonki złoty zegarek z łańcuszkiem. Zakotłosał nim i szeroko się uśmiechnął. Potem stanowczym ruchem go schował i ściągnął koszulę, odsłaniając muskularny tors. Wciąż uśmiechnięty podszedł do wiadra ze świeżą wodą i parskając, zaczął myć twarz i ręce. Mina widziała, jak zaschnięta krew rozpuszcza się i miesza z wodą, spływa po skórze czerwonymi smużkami i spada na podłogę. Stłumiła kolejny przypływ mdłości.

„Oby mnie tu nie zauważył – pomyślała z przerażeniem. – Oby mnie tu nie zauważył”.

Pewnie znów pobił jakiegoś nieboraka, najprawdopodobniej kogoś, kto niedawno tu przybył i nie miał jeszcze żadnych sprzymierzeńców. Teraz nikt mu nie pomoże, bo nikt nie chce zadzierać z Philippem Ambornem ani z jego ojcem.

– Mój Philipp – mawiał Xaver Amborn – to raptus. Wszyscy o tym wiedzą i wolą go nie drażnić. On już taki jest, ale w głębi serca to całkiem dobry chłopak... Od zawsze. Zawsze mogłem na niego liczyć.

Mina przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić westchnienie.

„On nie może mnie tu zobaczyć, dobry Boże, on nie może mnie tu zobaczyć”.

Philipp nie pierwszy raz wracał do domu w takim stanie, ale nigdy wcześniej nie widziała u niego tego złotego zegarka. „Dziś posunął się za daleko”, pomyślała Mina. Ukradł. Czy by jej uwierzył, że nic nie widziała, o niczym nie wie i o niczym nikomu nie powie? „O nie, on nie może mnie tu zauważyć – przemknęło jej znów przez głowę – nie może mnie zobaczyć”.

Przecież nie wie, w jakim jest nastroju. Czasami nie potrzebował nawet powodu. Bił na odlew, bo sprawiało mu to przyjemność, bo lubił patrzeć, jak inni cierpią. Tego nauczyła się na samym początku, gdy przyjechały z matką do Esperanzy pięć lat temu. Powierzchowność Philippa, gęste ciemne włosy, wyrazista twarz, ujmujący uśmiech, blask w oczach i muskularne ciało mogły być mylące, bo w środku siedział prawdziwy diabeł.

Przyrodni brat Miny ponownie obejrzał swoje dłonie i całą resztę. Chyba był zadowolony, bo sięgnął po ręcznik i wytarł nim twarz i tułów. Następnie sprawdził koszulę, po czym rzucił ją z westchnieniem. Krew na materiale na pewno nie była jego. Nie miał nigdzie żadnych skaleczeń, przynajmniej Mina nigdzie ich nie zauważyła.

Nagle coś skrzypnęło i piętnastolatka aż podskoczyła. W otwartych drzwiach stanął jej ojczym. Wydawało się, że widok syna go zaskoczył.

– Już wróciłeś?

– Był wypadek – poinformował go krótko Philipp.

Kiedy tak stali obok siebie, przypominali Minie dwóch opryszków, renegatów, *desperados*. Dlaczego nikt tego nie dostrzegał? Dlaczego Xaver i jego dwudziestojednoletni syn wciąż cieszyli się tu poważaniem? Dlaczego w każdej sytuacji ich słowo liczyło się bardziej niż jej słowo albo jej matki? Dlaczego po pięciu latach nadal czuły się tak, jakby dopiero co przybyły? Dlaczego nikt nie chciał dostrzec, co kryje się za tą fasadą?

Zobaczyła, że ojczym marszczy czoło.

– Wypadek?

– Zostaliśmy napadnięci.

„Kłamie – pomyślała, zaciskając usta. – On kłamie”.

Wziąwszy pod uwagę ilość krwi na twarzy i ubraniu Philippa, wołała nawet nie myśleć, co spotkało owego nieszczęśnika, któremu na drodze stanął jej przyrodni brat.

– Mina już wróciła? – zapytał teraz Philipp.

– Dlaczego pytasz? – W głosie ojczyma zabrzmiała podejrzliwość.

– Widziałem ją dzisiaj z Frankiem Blumem.

Głos Philippa zabrzmiał niewinnie, ale dobrze wiedziała, że w ten sposób zasiał kolejne zatrute ziarno.

– Do stu diabłów, zabroniłem jej zadawać się z tym obdartusem. Chyba znów będę musiał dać nauczkę tej upartej pannicy.

Minę tak wystraszyły te słowa, że straciła równowagę i oparła się o drzwi spiżarki, które pod jej ciężarem cicho zaskrzypiały. Ojciec i syn natychmiast spojrzeli w tamtym kierunku, a potem na siebie.

– Mina, słoneczko – zawołał Philipp ze złośliwym uśmieszkiem na twarzy. – Jesteś tam?

Kilka tygodni wcześniej

Wieczne światło nadawało całej równinie czerwonomiodowy kolor, zmieniając ją w morze traw, którego fale uderzały w oddali o górskie zbocza.

– Zatrzymaj się, ty przeklęta smarkulo! – Głos ojczyma zagrzemiał za plecami Miny, ale nie przystanęła.

Wybiegła z domu i zamierzała biec dopóty, dopóki ten znieawidzony głos Xavera całkiem nie ucichnie. Gdyby w tym momencie ktoś ją zapytał, czy nie boi się ojczyma, tylko wzruszyłaby ramionami. Nie można żyć w ciągłym strachu, jak jej matka. Annelie Amborn, z domu Wienand, po zmarłym mężu Hoff, za bardzo się bała. Mina za nic na świecie nie chciała jej przypominać. Kiedy wróci do domu, Xaver oczywiście ją stłucze, ale teraz nie chce o tym myśleć. Tu i teraz jest wolna jak ptak. Reszta nie ma znaczenia.

Przebiegła spory kawałek, zatrzymała się i roześmiała, rozkładając szeroko ręce. To był mocny, pewny śmiech. Niejednego by zaskoczył u tak filigranowej dziewczyny. Ale już na statku Mina zadziwiła wiele osób. Niczego się nie bała – pozostawała na pokładzie nawet wtedy, gdy silnie wiało. Nigdy nie dopadła jej choroba morska, nigdy też nie wątpiła, że dotrą na miejsce całe i zdrowe, choć wśród pasażerów nie brakowało i takich, którzy cały rejs spędzili, na przemian modląc się i płacząc.

Znów pobiegła z rozłożonymi rękami. Pomyślała, że czasami naprawdę chciałaby mieć skrzydła i stąd odlecieć. Jest jednak człowiekiem, jest stworzona do chodzenia po ziemi.

Nagle zwolniła i rozejrzała się dookoła. Dotarła na miejsce spotkania, do płytkiej, niemal niezauważalnej na tym bezkresie niecki. Franka, jej najlepszego przyjaciela, jeszcze nie było.

Usiadła na ziemi z lekkim westchnieniem. Cieszyło ją, że jej ojczym jak zwykle był zbyt leniwy, by biec za nią dalej niż kilka metrów. Od czasu do czasu napuszczał na nią swojego syna Philippa, ale tym razem nie było go w domu. Widziała Philippa koło południa, jak zalecał się do jakiejś dziewczyny. Była pewna, że nieprędko wróci. A wieczorem się upije. O tak, Mina ma dzisiaj szczęście, i dobrze o tym wie.

Spojrzała na słońce, które niczym ognista kula wolno toczyło się ku horyzontowi. Zanim zapadną ciemności, będą mieli z Frankiem trochę czasu, choć nie za dużo. Mina miała nadzieję, że jej przyjaciel niebawem się zjawi.

Nasłuchiwała przez chwilę. Wiele osób bało się opuszczać wieś o tej porze. Czasami grasowali tu Indianie, na przykład z plemienia Toba zamieszkującego prowincję Chaco na północy kraju, i kradli bydło albo porywali kobiety i dzieci. Z tego względu na terenach sąsiadujących z terytorium Indian domy zawsze stawiano blisko siebie i otaczano solidną palisadą. Tamtejsi osadnicy stale nosili broń, nawet gdy pracowali w polu. Każdego roku do Chaco wyruszała też ekspedycja karna. W trakcie takiej wyprawy niszczone kilka *tolderías*, jak Indianie nazywali swoje wioski, zabijano iluś tubylców, a innych brano do niewoli, aby potem wysługiwać się nimi w miastach albo na plantacjach trzciny cukrowej w okolicach Tucumán.

Ojczym i przyrodni brat Miny także uczestniczyli w tych ekspedycjach, choć nigdy nie padli ofiarą *malón*, czyli indiańskiej napaści. Po prostu wojaczka sprawiała im przyjemność. Kochali zabijać. Mina odważyła się kiedyś zapytać, jak to jest mścić się za krzywdy, których przecież się nie doznało. Odpowiedzią ojczyma był utrzymujący się przez parę tygodni krwiau na policzku, najpierw czerwony, potem siny, a na końcu żółtawozielony. Sąsiadom musiała powiedzieć, że spadła ze

schodów. Wzdrygnęła się mimowolnie i podciągnawszy nogi, objęła je rękami.

– Długo czekasz? – Niski, ciepły głos wyrwał ją z zamyślenia.

Odwróciła głowę i zerwała się z ziemi.

– Frank, jesteś nareszcie!

– Wcale dziś nie uważałaś. O czym tak rozmyślasz?

– Ach, o tym i owym.

Mina popatrzyła na przyjaciela z sympatią. Od pięciu lat, od pierwszych dni w tej krainie, to on stale jej towarzyszył, był jej jedyną nadzieją. Czasami zastanawiała się, gdzie się podział jego dziecięcy głos. Jednak siedemnastoletni Frank już od dawna był mężczyzną, od którego oczekiwano ciężkiej pracy. Spuściła na chwilę wzrok. Znów pojawiła się jedna z tych osobliwych myśli, które od niedawna kłębiły się jej w głowie na jego widok, aby go dotknąć, aby poczuć ciepło jego skóry, jego znajomy zapach.

Miała ochotę się do niego przytulić i już nigdy nie wypuszczać go z objęć.

Z trudem podniosła głowę i spojrzała na Franka. Nie chciała, żeby zauważył jej zakłopotanie. Poczula się niepewnie.

– Jak było dzisiaj?

– Masz na myśli pracę z twoim ojcem?

– Nie nazywaj go tak! – zaprotestowała Mina.

Frank wzruszył ramionami.

– Przepraszam – westchnął ciężko. – No cóż, było jak zwykle – odparł lakonicznie.

Mina pokiwała głową ze zrozumieniem. Widziała, że jego skromne ubranie całe jest pokryte kurzem. Twarz też miał brudną, ale jego niemal czarne oczy jaśniały śmiałym blaskiem. Podczas ich pierwszego spotkania to właśnie na nie najpierw zwróciła uwagę. Czasem były nieprzeniknione, by w następnej chwili swawolnie rozblysnąć. W tych oczach mogłaby całkiem

utonąć. To te oczy widziała, kiedy nie mogła zasnąć. Nikt inny nie miał takich oczu, tylko Frank.

Chwilę później siedzieli już w swojej dolince, w swojej kryjówce. Frank ujął dłoń Miny. Przez dłuższy czas trwali w milczeniu. Ostatnio nie musieli się nawet odzywać, wystarczała im bliskość.

– Wkrótce zrobi się bardzo ciemno – powiedziała w końcu Mina. – Akurat jest nów.

– Mam przy sobie latarnię – odpowiedział Frank, ze spokojem wskazując na worek leżący obok niego na ziemi.

– Ukradłeś?

Mina zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Gęsta, ciemnoblonde czupryna opadła mu na czoło i twarz. Minie te włosy zawsze się wydawały nie do okiełznania. Frank poprawił je jednym gestem. Popatrzył na nią wyzywająco.

– Pożyczyłem. – Szeroko się uśmiechnął.

– Od kogo?

Poczuła, że między jej brwiami powstaje pionowa zmarszczka, a oczy zwężają się jak u kota szykującego się do skoku.

Frank zmarszczył czoło. Odgarnął z jej ramienia kasztanowe pasmo włosów.

– Ach, Mino, nie chcę cały czas się płaszczyć i nie chcę ciągle na wszystko uważać. Nic nikomu nie zrobiłem, nikogo nie skrzywdziłem. Jutro latarnia znajdzie się na swoim miejscu. Obiecuję. Nikt tego nawet nie zauważy.

Mina powstrzymała się więc od ostrzeżeń, które już cisnęły się jej na usta. Przeszedł ją dreszcz. Nagle poczuła rękę Franka otaczającą jej ramiona. Zdrętwiała. Poznali się dobrze jako dzieci i razem dorośli. Do tej pory nie obdarzali się takimi gestami, ale już po chwili Mina przytuliła się do Franka po raz pierwszy i poddała jego uściskowi. Wsłuchiwała się w spokojny oddech

swego towarzysza i napawała dotykiem jego szorstkiej dłoni spoczywającej na jej ramieniu.

„Chciałabym go pocałować”, pomyślała.

– Pocałuj mnie – szepnęła.

Najpierw się zawahał, lecz posłuchał jej prośby. Pierwsza próba wypadła nieporadnie. Ich usta rozminęły się, ale później było już tak, jak gdyby robili to od dawna. Smakowali się nawzajem, spijali swoje oddechy, poszukiwali, dotykali i badali swoje usta.

„Kocham go – pomyślała Mina, kiedy wreszcie się od siebie oderwali. – Teraz w końcu wiem, teraz jestem pewna”.

Znów siedzieli w milczeniu, rozmyślając o tym, co właśnie się stało. Mina z rozmarzeniem przesunęła palcem po ustach swojego ukochanego.

– Gdy tylko będzie to możliwe, to stąd odejdziemy – Frank wrócił do sprawy, o której już wcześniej, szczególnie w ostatnim czasie, rozmawiali.

Mina pokiwała głową, ale nie odpowiedziała. Tyle razy wyobrażali sobie, że opuszczają to miejsce i zaczynają nowe życie gdzie indziej. Wciąż jednak nie była pewna jednej rzeczy. Teraz też w jej głowie pojawiła się myśl: „Jak powiem o tym matce? Ona musi wyjechać z nami, nie ruszę się bez niej. Nie mogę zostawić jej na pastwę tego potwora”.

*

„Popadam z jednej biedy w drugą – pomyślała po raz kolejny trzydziestodwuletnia Annelie Amborn – z jednego piekła w drugie”. Łzy napłynęły jej do oczu. Jej mąż Xaver właśnie chwycił ją za nadgarstek i ścisnął bezlitośnie, jak to często i chętnie czynił. Bardzo szybko się zorientowała, że on lubi sprawiać jej ból. Pierwszy raz przekonała się o tym parę dni po ślubie.

Spojrzała na lampę olejową stojącą na stole, jak gdyby w ten sposób mogła uciec, skupiła całą uwagę na płomieniu, aby nie czuć ani bólu, ani strachu.

– No, gadaj, gdzie ta wywłoka? I tak się dowiem. Pozwalasz jej na zbyt wiele, Annelie. Mina jest już za duża, by mogła się wałęsać wszędzie jak dzikuska. Musi pracować, tu i teraz, jak każdy, kto chce mieć co włożyć do ust. Nie potrzebujemy tu żadnych darmożjadów. Darmożjady wystawia się za drzwi.

Xaver wskazał drugą ręką na brudne naczynia piętrzące się przy zlewie. Nad obgryzioną kością z resztkami mięsa kłębiły się muchy. Ojciec i syn byli w domu od niedawna, ale już wyglądało tu tak, jak gdyby obie z Miną przez cały dzień nic nie robiły. Annelie nie zdążyła nawet podać kolacji, ale tych dwóch już wcześniej sięgnęło po coś do jedzenia, pozostawiając po sobie prawdziwe spustoszenie. A przecież obie z córką były na nogach od bladego świtu. Posprzątały, obrobiły ogródek, oporządziły krowy i wyprowadziły je na pastwisko, nanieśli wody.

„A ja chciałam tylko, żeby moja Mina znów miała życie, na jakie zasługuje”.

Annelie próbowała nie patrzeć na swojego pasierba, aby go nie drażnić bez potrzeby. Philipp siedział rozparty na krześle. Nogi wyciągnął tak, że nie dałoby się ich ominąć, gdyby trzeba było tamtędy przejść. Jego czarnym włosom opadającym na ramiona przydałby się fryzjer. Kanciastą szczękę porastała ciemna szcecinina. Na swój sposób był nawet przystojny. Annelie wiedziała, że wiele kobiet już się na to nabrało.

„Jego matka musiała być piękną”, pomyślała. Zmarła cztery lata przed ich przybyciem. Podobno to był wypadek.

– Przysięgnij mi, że od tej chwili będziesz bardziej uważać na swoją smarkulę – zaburczał Xaver i jeszcze raz ścisnął jej nadgarstek.

Kiwnęła głową, próbując się oswobodzić. Zauważył to i szczerząc zęby, przytrzymał ją jeszcze mocniej, po czym nagle puścił. Omal nie upadła, ale w ostatniej chwili przytrzymała się stołu.

„Jak mogłam myśleć, że znajdę w nim nowego opiekuna dla siebie i Miny? Jak mogłam powierzyć mu nasze życie?”

Popęłniła błąd. Jak zwykle. Po prostu jest głupia. Jej ojciec miał rację.

– Nakryje do stołu, kobieto, i skończ z tym użalaniem, to nie do wytrzymania. No, dalej, mój syn i ja jesteśmy głodni.

Annelie pośpieszyła do kuchni. Na kolację były kluski i porządkowa ilość mięsa. Podała im obu kolację, sobie też odrobinę nałożyła, po czym Xaver zmówił modlitwę. Ledwie wybrzmiało amen, a Philipp już łapczywie jadł. Tłuszcz spływał mu po brodzie, czasem prosto na koszulę.

„Dlaczego przeczytałam tamto ogłoszenie? – przemknęło Annelie przez głowę. – Dlaczego tu przyjechałam? Zrujnowałam sobie życie, ale najgorsze jest to, że pogrzebałam szanse Miny na lepszą przyszłość. Nigdy nie uda mi się tego naprawić”.

Jej matka ostrzegała ją, upominała, by nie podejmowała tak daleko idącej decyzji. Przypomniała sobie popołudnia u swoich rodziców w Moguncji. Pili wtedy kawę – prawdziwą, jak matka zawsze podkreślała. Matka przeważnie milczała, a ojciec – zapewne kierowany lekarskimi przyzwyczajeniami – dokonywał bezlitosnej wiwisekcji życia swojej córki.

– Już trzy lata jesteś wdową – odezwał się kiedyś swoim budzącym respekt głosem. – Co zamierzasz, żeby nie siedzieć dłużej na garnuszku swoich starych rodziców?

Matka w tym czasie skubała szydełkową serwetkę leżącą na stole. Mina siedziała w kąciu, przeglądając jakąś książkę. Dość wcześnie stała się bardzo samodzielna. „Ja sama taka nie

jestem – pomyślała Annelie. – Nie jestem samodzielna. Jestem żalostną, słabą kobietą i do niczego się nie nadaję”.

To właśnie tamtego wieczoru przeczytała ogłoszenie. Dobrze je jeszcze pamięta: „Szukam żony i matki. Samotny wdowiec...”. Od razu poczuła więź z tym obcym człowiekiem. Był wdowcem. Był samotny... Ona też była samotna. Straciła męża. Czuła – nie, raczej wmówiła sobie, że coś łączy ją z tym człowiekiem. Jak zwykle rodzice byli przeciwni jej planom. Ale pierwszy raz w życiu im się przeciwstawiła. Ze względu na Minę.

Rok później, wymieniwszy z autorem ogłoszenia nie więcej niż dwa listy, wyruszyła razem z córką do Argentyny. Podróż była uciążliwa, lecz Annelie przez cały czas myślała o jej celu. Tylko dzięki temu przetrwała chorobę morską i strach – strach zarówno przed samym rejsem, jak i przed nieznanym światem. Wreszcie po wielu tygodniach dotarły do Buenos Aires. Stamtąd Paranaę popłynęły do Rosario, potem dostały się do Santa Fé, a na koniec...

– Co się tak gapisz? Nie widziałas nigdy chłopą przy kolacji?

Szybko spuściła wzrok, choć uśmieszek Philippa nie uszedł jej uwagi. Czytając tamto ogłoszenie, wyobraziła sobie, nie wiedząc czemu, jakieś urocze dziecko w roli pólseroty. Gdy przybyły na miejsce, Philipp był już prawie dorosły, był młodym mężczyzną o błękitnych oczach, ciemnych włosach i silnej, muskularnej sylwetce. Przeszedł ją dreszcz na myśl o spojrzeniach, jakie ostatnio rzucał w stronę jej córki.

– Chłopak żadnej nie przepuści – powiedział ostatnio z dumą jego ojciec, kiedy Philipp zaczął przechwalać się kolejnym podbojem.

Mina również dorosła. Z dziewczynki przeistoczyła się w młodą kobietę. Choć nadal była drobna, jej figura, jej chód i zachowanie nabrały kobiecych cech.

„Muszę ją lepiej chronić – przemknęło Annelie przez głowę. – Muszę lepiej ją chronić, ale sama nie wiem jak”.

Za bardzo się bała. Od zawsze za bardzo się bała.

*

Frank trzymał pług, a jego ojciec Hermann prowadził woły. Z nieba lał się żar. Irmelind, matka Franka, opowiadała mu kiedyś, że na drugim końcu świata wiosna zaczyna się w marcu, lato w czerwcu, jesień we wrześniu, a zima w grudniu. Tu, w Argentynie, było na odwrót. Wiosna przychodziła we wrześniu, lato w grudniu, marzec był miesiącem jesiennym, a czerwiec oznaczał zimę.

Zaorali już prawie wszystkie pola Dalbergów. Jeżeli się pośpieszą, to jutro uda im się wreszcie wygospodarować trochę czasu na obrobienie własnego skrawka ziemi.

Frank westchnął. Pracował w polu od najmłodszych lat. Czasami myślał, że zaczął, zanim jeszcze nauczył się mówić. W każdym razie dawniej skiby wydawały mu się dużo wyższe. A przynajmniej potykał się o nie mniej więcej co dziesięć kroków. Nie miał wolnej ręki, więc zamrugął, żeby pozbyć się potu zalewającego mu oczy. Pot spływał z niego strumieniami. Koszula i spodnie lepiły mu się do ciała. Uśmiechnął się na myśl o orzeźwiającej kąpieli w rzece. Ojciec zachęcał woły, mrucząc i cmokając. Gdzieś za ich plecami rozległ się odgłos końskich kopyt.

Frank nawet nie musiał odwracać głowy. Wiedział, że zbliża się do nich Xaver Amborn, ich nadzorca. Już wczesnym rankiem tu był, żeby wszystkiego doglądać, a teraz przyjechał na drugą inspekcję. Frank miał tylko nadzieję, że nie ma z nim Philippa.

Napiął mięśnie i wcisnął pług głębiej w ziemię. Tętent kopyt zwolnił. Po chwili jeździec przejechał stępem obok niego i zatrzymał się przy jego ojcu. Chłopak podniósł głowę.

Miał szczęście. Xaver był sam. Od razu się do nich odezwał. Frank nie znał żadnego innego człowieka o tak nieprzyjemnym, metalicznym głosie. Ich spojrzenia skrzyżowały się na krótką chwilę.

– Blum, twój syn ugania się za moją córką – powiedział, uśmiechając się przy tym, choć Frank, podobnie jak jego ojciec, wyczuł w jego głosie raczej groźbę. Hermann zatrzymał woły.

– Porozmawiam z nim, panie Amborn – odpowiedział i pochylił głowę tak poddańczym gestem, jak gdyby niemal się kłaniał przed Xaverem.

– Nie uganiam się za Miną – w tej samej chwili bez zastanowienia odezwał się Frank. – Znamy się już od dawna. Przyjaźnimy się.

Xaver odwrócił się do niego bardzo wolno, jak gdyby nie wszystko do niego dotarło, i krzywo się uśmiechnął.

– Jesteście przyjaciółmi? Przyjaźń między takim chłopakiem jak ty i moją córką? Włóczyś się z Miną całymi wieczorami, a ja mam się na to godzić? Jesteśmy porządną rodziną.

– Przyjaźnimy się – powtórzył Frank i nie wiedzieć czemu spuścił głowę.

– Przyjaźnicie? – znów rozległ się nieprzyjemny głos Xavera. – Chyba zauważyłeś, że moja córka nie jest już dzieckiem. Robi się z niej powoli całkiem ładna kobieta, nieprawdaż? Tak, kto by pomyślał, że ta chuda zadziora tak wyrośnie.

Frank milczał. Na moment przed oczami stanęła mu Mina – jej szczupła sylwetka z pierwszymi zaokrągleniami, gęste włosy, bursztynowe oczy.

– Kiedyś się pobierzemy – powiedział cicho Frank.

Xaver Amborn wybuchnął gromkim śmiechem.

– Twój syn to prawdziwy kawalarz – powiedział do Hermana i podjechał bardzo blisko chłopaka. – A kto ci powiedział,

że się na to zgodzę? Taki golec jak ty? Nie mam nic do ciebie, Hermann, ale sam musisz przyznać, że nie mieliście szczęścia ze swoją rolą. – Następnie spojrzał na Franka. – Wybij to sobie z głowy, Frank. – Splunął. – Ty i moja córka. Niedoczekanie!

Frank wypuścił z rąk pług i odruchowo cofnął się o dwa kroki, ale Xaver dalej napierał na niego koniem, aż młody człowiek się przewrócił. Wielkie kopyta ogiera, którego dosiadał Xaver, zatrzymały się tuż obok ręki Franka.

– Jeszcze raz ci radzę, zabierz łapy od mojej córki, ty brudny kundlu, bo inaczej spotka cię coś złego.

Chłopak nie odpowiedział. Zagłębił palce w miękkiej, świeżo wzruszonej ziemi. Na skraju pola, tam, gdzie biegła droga, podniósł się teraz tuman kurzu. Frank rzucił krótkie spojrzenie w stronę ojca, ale ten był zajęty wołami i udawał, że niczego nie widzi i nie słyszy.

„Dlaczego mi nie pomoże? – pomyślał Frank. – Dlaczego mnie nie broni?”. Nie pierwszy raz ojciec nic nie zrobił w jego obronie, ale nadal sprawiało mu to przykrość.

Xaver zawrócił konia.

– Wracajcie do pracy – krzyknął i spał wierzchowca.

Frank popatrzył za oddalającym się jeźdźcem. Ogarnęła go wściekłość i zacisnął zęby.

– Słyszałeś? – warknął Hermann. – Do roboty.

Frank kolejny raz zadał sobie w duchu pytanie, czy ojciec naprawdę gardzi nim tak, jak na to wygląda w tej chwili.

*

W niedzielę zaraz po nabożeństwie Mina i Frank, każde osobno, wybiegli z domu, żeby spotkać się w swojej kryjówce. Frank wyglądał na zamyślonego. Już od dłuższego czasu leżał na trawie, osłaniając oczy przed słońcem. Mina położyła się więc obok

niego z westchnieniem, potem przewróciła się na bok, podparła łokciem i zapatrzyła na przyjaciela.

Nad jego ramieniem widziała jeden z płytkich stawów, od których wywodziła się nazwa okolic Esperanzy. „Wielka kałuża” – tak nazwali ją kiedyś Indianie z pampy. Kiedy podnosił się poziom wód gruntowych, cały teren pokryty licznymi niewielkimi bajorkami zamieniał się w jedno wielkie rozlewisko, co powodowało znaczne szkody w rolnictwie.

Mina pomyślała, że życie pierwszych osadników musiało być bardzo ciężkie.

Na początku 1856 roku dotarło tu około dwustu rodzin, w tym rodzice Franka. Z braku innego budulca na tym porośniętym wyłącznie trawą stepie pierwsi kolonizatorzy musieli sklecić swoje chaty z wysuszonych na słońcu cegieł z gliniastej ziemi, czyli *adobes*. Później w twardej glebie pampy wykopali rowy melioracyjne i założyli pola uprawne.

Frank był późnym dzieckiem, przyszedł na świat trzy lata po przyjeździe jego rodziców do Argentyny. W przeciwieństwie do Miny nigdy nie poznał ojczyzny Hermanna i Irmelind Blumów. Pewnie dlatego lubił czasem posłuchać opowieści Miny o jej dawnych rodzinnych stronach. Innym razem to on opowiadał jej o tym, co usłyszał od rodziców na temat trudnej podróży do Nowego Świata.

Mimo że nie mogli zbyt długo zostać w swoim ulubionym miejscu – nawet w niedzielę w domach czekały na nich obowiązki – wspólne chwile przyniosły im sporo otuchy. W końcu pożegnali się długim, czułym pocałunkiem.

– Nie zapomnij o mnie, dobrze? – powiedziała Mina. – Nigdy o mnie nie zapomnij.

Franka chyba nie zaskoczyły te słowa.

– Nigdy – odpowiedział z powagą.

Irmelind Blum z rękami oblepionymi ciastem na chleb wyglądała w zamyśleniu przez niewielkie okno ich domku. Nawet po dwudziestu latach przeżytych w tym kraju nie było ich stać na nic lepszego, ale to już dawno przestało mieć dla niej znaczenie. Jakaś jej część umarła lata temu, na parę dni przed dotarciem tutaj, na tak zwaną wilgotną pampę. Po ulewnych deszczach, kiedy Parana i Salado występowały z brzegów, cała okolica stała pod wodą. Ale nikt im o tym nie powiedział przed wyjazdem. Wszyscy powtarzali w kółko, że w Argentynie jest dobra ziemia, wielkie połacie trawistych stepów, nadających się zarówno do uprawy, jak i do wypasu bydła. Na zachodzie regionu wznoszą się niewielkie góry, zwane *sierras*, klimat jest tu wprawdzie wilgotny, ale umiarkowanie ciepły. Deszcz pada przez wszystkie pory roku. Brzmiało zachęcająco.

Wtedy w Niemczech sporo mówiło się o emigracji do Ameryki Południowej. Życie stało się ciężkie i mało kto był w stanie się utrzymać. Jej mąż Hermann wybrał się więc do Frankfurtu, do punktu informacyjnego. Podpisał umowę z przedstawicielem Aarona Castellanos, uprawniającą do osiedlenia się na północy prowincji Santa Fe, po czym ruszyli w drogę.

Castellanos... Irmelind nigdy nie zapomni tego nazwiska.

Jego oferta wyglądała zachęcająco: każdej rodzinie obiecywano dwadzieścia hektarów państwowych gruntów, do tego domek, ziarno na zasiew, zapasy, dwa konie, dwa woły, siedem krów mlecznych i byka. Pokrywano nawet część kosztów podróży. Aby znaleźć pozostałe środki, Blumowie sprzedali dom i ziemię. Dostali całkiem niezłe pieniądze. Po zakupie wszystkich sprzętów niezbędnych w podróży i opłaceniu miejsca na statku coś im nawet jeszcze zostało w kieszeni.

„Do tamtego momentu wszystko szło tak gładko, że aż budziło podejrzenia”, pomyślała Irmelind.

Miała rację, jej złe przeczucia się potwierdziły. W Dunkierce wsiedli na trójmasztowiec Mármora. Wtedy zaczęły się kłopoty. Rejs trwał sześćdziesiąt dni. Po drodze zmagali się z wieloma gwałtownymi sztormami. Cztery rodziny straciły dzieci, Blumom zostało to oszczędzone. Jednak złe przeczucia nie znikły.

W Buenos Aires władze nie pozwoliły im zejść na ląd z powodu wojny toczonej przez konfederację, czyli argentyńskie prowincje tworzące republikę, i Buenos Aires, które nie było wówczas skłonne do współpracy. Statek musiał zawrócić do Montevideo. Stamtąd emigranci zostali przewiezieni do miejscowości Martín García, skąd dalej mieli popłynąć parowcem. Podczas tej podróży, kiedy siedzieli na pokładzie upchnięci jak śledzie w beczce, zmarły jeszcze dwie młode dziewczyny. Jedno małe dziecko wypadło za burtę i utonęło. Siłą powstrzymano matkę przed rzuceniem się za nim do wody. Ten widok dosłownie rozdarł Irmelind serce.

Przymknęła na moment oczy.

„Nie wolno mi o tym myśleć, nie wolno”.

Mieszkają tu już od dwudziestu lat, a ona nadal pamięta dzień ich przybycia, jak gdyby to było wczoraj. Wszystko wydawało się jej takie obce – krajobraz, gleba, roślinność, niebo, ten bezkresny obszar oraz ogromna liczba dziwnych, często śniadych postaci, które obsiadły wyżej położone brzegi, żeby ich powitać.

„Oto nasi nowi sąsiedzi – mówiła sobie bezgłośnie – nasi nowi sąsiedzi” – powtarzała niczym różaniec, który na okrągło od-mawiała.

Wkrótce zjawili się jeźdźcy z wielkimi wozami. Po raz pierwszy zobaczyła wtedy konie przywiązane do dyszla za pomocą popręgów od siodła. Wydało się jej to dziwne, ba, nawet okrutne.

Przeładunek także odbywał się w osobiwy sposób. Na burtę ich parowca przerzucono planki, a miejscowi zarzucali na bagaże lassa i przeciągali je na ląd. Irmelind w pierwszej chwili nie potrafiła ukryć zdziwienia. Potem zdarzyło się nieszczęście, potworne nieszczęście. A winę za nie ponosił Claudius Liebkind.

Znów otarła oczy rękawem.

Liebkindowie i Blumowie zaprzyjaźnili się ze sobą w trakcie podróży, lecz kolejny etap wędrówki do Esperanzy pokonali osobno. Po drodze spotykali wielu mieszkańców okolicznych *ranchos*, niewielkich gospodarstw rolnych. Kobiety podawały im mleko w wydrążonych dyniach, nazywanych tykwami. Owe dziwne naczynia budziły strach, zwłaszcza wśród małych dzieci nowych osadników. Ale Irmelind nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Czuła się jak sparaliżowana.

Podczas pierwszych pracowitych tygodni i miesięcy nie miała kiedy pomyśleć o tym, co się stało, aby ze spokojem oddać się bólowi. Nowe życie pochłonęło ją bez reszty. Zresztą kto miał wtedy czas zwracać uwagę na czyjeś uczucia. Szybko okazało się, że bydlę nie jest tu tak uległe jak w Europie. Jeżeli porządnie nie uwiązało się zwierząt, to wracały po prostu na estancję, na której dorastały, i trzeba było znów mozolnie je wyłapywać.

Jednak z czasem nawykli do nowej pracy. Po śniadaniu zaprzęgano do pługą woły albo konie. Kiedy brakowało drugiego mężczyzny, pomagać musiały nawet najmniejsze dzieci. Irmelind widziała pięciolatki ciągnące konie, w czasie gdy ojciec z trudem usiłował utrzymać pług w bruździe.

Wtedy najczęściej żywili się mamałygą – jedli ją na śniadanie, obiad i kolację. Co wieczór trzeba było ucierać kukurydzą na następny dzień. Przy blasku paleniska zamieniano kilka słów i dość wcześnie kładziono się spać. Na olej do lamp brakowało już pieniędzy.

Chcąc nie chcąc, trzeba też było przywyknąć do nieznanych wcześniej zagrożeń – okolice często przemierzali wolni i mający swoje zwyczaje Indianie. W takich sytuacjach osadnicy woleli mieć przy sobie broń, nawet jeśli pracowali w polu. Gdy wznoszono nowe zabudowania, zwracano uwagę, żeby stawiać zawsze blisko siebie po cztery budynki. Nocą wystawiano strażę.

Stosunki z zasiedzianymi już argentyńskimi sąsiadami też nie zawsze dobrze się układały. Początkowa serdeczność szybko ustąpiła miejsca utyskiwaniom na rozrzutność rządu obdarowującego obcokrajowców zbyt lekką ręką. Podczas debaty w senacie podnoszono na przykład, że zakładanie przez obcych osadników zamkniętych enklaw prowadzi do niebezpiecznej utraty tożsamości kraju. Uchwalono zatem, że kolonizatorów trzeba rozdzielać i kierować do różnych wiosek. Jednak osadnicy nie zgodzili się zostać parobkami w cudzych gospodarstwach albo się rozdzielić. Uchwałę odwołano. Po tym sukcesie przybyło z Niemiec jeszcze więcej rodzin, a wśród nich także Ambornowie.

Irmelind zmarszczyła czoło. Słyszała od sąsiadów, że Frank miał ostatnio problemy z Xaverem Ambornem. Z jakiegoś powodu Hermann jej o tym nie powiedział. Musi nakłonić syna, by był ostrożny. Wszyscy wiedzą, że z Ambornami lepiej nie zadzierać. Urządzili się tu szybciej niż pozostali. Chodziły nawet słuchy, że nie do końca uczciwie. Podczas gdy jej rodzina po tylu latach nadal zajmowała mały domek, który zbudowali tuż po przybyciu, Xaver niedługo po osiedleniu się w wiosce został nadzorcą u zamożnej rodziny Dalbergów. Szybko mógł też pozwolić sobie na postawienie większego domu.

Przez wszystkie te lata rzadko z nim rozmawiała, pręcej z Agnes, jego pierwszą żoną, śliczną, miłą i pracowitą kobietą, która jednak nie żyła już od pięciu lat. Irmelind westchnęła.

Niekiedy miała wrażenie, że widzi dalej Agnes w ogrodzie. Zawsze była czymś zajęta, lecz najbardziej kochała ogród i kwiaty. Kiedy ze sobą rozmawiały, Irmelind zdawało się czasem, że Agnes chce jej coś powiedzieć, ale nie może się przemóc, by to zrobić. Pewnego dnia rozeszła się wieść, że spadła ze schodów i skręciła sobie kark. Niektórzy mówili, że to nie do końca prawda – oczywiście nie na głos. Takich rzeczy o Ambornach nie można było mówić głośno.

Odeszła od okna, stanęła przy stole i pochyliwszy się nad ciastem, zaczęła je z całej siły ugniatać i wyrabiać. Rano odwiedziła ją Cäcilie Liebkind. Irmelind nawet nie pamiętała, kiedy Cäcilie była u niej ostatnim razem. Tak czy inaczej musiało to być bardzo, bardzo dawno temu.

– Claudius wraca – oznajmiła jej podniecona Cäcilie.

Irmelind na nią spojrzała. Na moment czas jak gdyby się zatrzymał. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

– Może chce was zobaczyć – powiedziała Cäcilie ostrożnie. – Może będzie chciał przeprosić. Minęło już tak dużo czasu, może moglibyśmy sobie... – Urwała.

„Bo nie potrafi wypowiedzieć tego słowa – przemknęło przez głowę Irmelind – bo wie, że nie wolno jej go wymówić. Wybaczyć mogą tylko ja. A ja nie chcę. Nie chcę go widzieć i nie chcę mu wybaczyć”.

Miała ochotę krzyknąć, że niczego nie wybaczy, ale zagryzła wargi, widząc błagalne spojrzenie Cäcilie.

– On ma... – powiedziała więc zamiast tego i zamilkła, bo zaschło jej w gardle. – Claudius ma teraz chyba koło czterdziestki.

– Tak. – Cäcilie spuściła głowę.

– Odwiedzaliście go ostatnio? Ożenił się ponownie? Jak... Jak się ma? Nie ma chyba dzieci, prawda?

– Tak, on... Nie... Ach, Irmelind, ja...

– Nic nie mów. Nikt tego nie chciał. To był przecież wypadek, prawda? Takie rzeczy się zdarzają. Bóg dał, Bóg wziął. – Irmelind cofnęła się i stanęła przy framudze. Wyciągniętą ręką chwyciła za drzwi. – A teraz, Cäcilie, zostaw mnie, proszę, samą.

*

Podróż go wyczerpała. Claudius Liebkind odzwyczaiał się od tak długiej jazdy w siodle. Przed wizytą u rodziców zajrzał do swojego hotelu. Wziął kąpiel, założył świeże ubranie i coś przegryzł. Antoinette, jego druga żona, którą poślubił dwa lata temu, niedługo po śmierci pierwszej żony imieniem Betty zaczęła mu ostatnio powtarzać, że powinien dbać o formę. Choć to właśnie jej znakomita kuchnia sprawiła, że nieco się zaokrąglił. Uwielbiał przygotowywane przez nią słone i słodkie przysmaki. Miał też nadzieję, że ich wspólne szczęście zostanie przypieczone narodzinami dziecka. Antoinette przed wyjazdem coś na ten temat wspomniała. Może nareszcie jest przy nadziei. Tak bardzo tego pragnął. Zawsze lubił dzieci, kiedy był mały, brakowało mu brata, ale pozostał jedynakiem.

Podszedł do lustra. Mokre włosy wydawały się ciemniejsze niż w rzeczywistości, twarz była lekko zaczerwieniona, choć już bez oznak wysiłku. Kąpiel dobrze mu zrobiła. Czuł się odprężony. Plecy i siedzenie już tak bardzo nie bolały.

Po krótkim namyśle postanowił, że jeszcze się przespaceruje. Opuściwszy pokój, zajrzał na recepcję, pozdrowił portiera i wyszedł na ulicę. Najpierw sprawdził, czy z jego koniem wszystko w porządku, a potem wybrał się zwiedzić okolicę. Dawno już nie był w Esperanzie. Po tamtym strasznym wypadku sprzed dwudziestu lat rodzice znaleźli mu pracę w innej miejscowości. Rozstanie było bolesne dla całej rodziny, bo zawsze byli sobie bardzo bliscy. Przyjeżdżał wprawdzie od czasu do czasu, ale za

każdym razem w tajemnicy i na krótko. Matka odwiedziła go ostatnio dwa lata temu przy okazji drugiego ślubu, ale ojciec musiał zostać w gospodarstwie, bo ciągle jest tam coś do roboty.

Stwierdził, że Esperanza znów się rozrosła. Po ulicach przechadzali się dobrze ubrani mieszkańcy. Po drodze mijały go większe i mniejsze powozy oraz jeźdźcy. Widział matki z córkami, psocących synów, młodych mężczyzn i kobiety, uśmiechających się do siebie ukradkiem. Przez moment zastanawiał się, czy nie zajść gdzieś, żeby się napić. I tak było już za późno na wyjazd do rodziców. Mimo podeszłego wieku ojciec i matka nadal ciężko pracowali i zwykle szybko kładli się spać. Postanowił, że odwiedzi ich jutro. Pójdzie też do Irmelind i Hermanna Blumów. Spróbuje w końcu zadośćuczynić temu, co zniszczył w przypływie młodzieńczej niefrasobliwości.

Zatrzymał się na moment w zamyśleniu. Tak często pragnął, by tamta chwila nigdy się nie wydarzyła. Ale stało się. Podjął złą decyzję i spadła na niego wina za śmierć drugiego człowieka. Śmierć Vroni.

Przeszedł go dreszcz. Zatopiony w myślach, nie zwracał uwagi na to, dokąd idzie. Spostrzegł, że znalazł się w jakiejś niezbyt pięknej części miasta. Nie było tu ani spacerujących par, ani młodzieży, ani matron mierzących surowym spojrzeniem swoich podopiecznych. W powietrzu unosił się nieprzyjemny odór zgnilizny. W rynsztoku spał jakiś pijany Indianin w łachmanach. O ścianę domu opierała się prostytutka czekająca na klientów. Z niezbyt zachęcająco wyglądającej *pulperia*, czyli gospody, gdzie można było kupić coś do jedzenia, wytoczyło się właśnie paru mężczyzn. Przed innym domem, który chyba był burdelem, jakiś czarnowłosa, muskularny młodzieniec trzymał pod rękę dwie krzykliwie ubrane i umalowane kobiety, całując raz jedną, raz drugą przy wtórze okrzyków swoich kompanów.

– Ej, na co się gapisz? – ktoś burknął.

Claudius wzdygnął się i dopiero teraz pojął, że pytanie było skierowane do niego. Odwrócił więc wzrok, ale było za późno. Młody człowiek, który jeszcze przed chwilą całował kobiety, odsunął je teraz na bok. Podeszedł do Claudiusa pewnym krokiem i z groźną miną.

– Ej, do ciebie mówię, stary grubasie, na co się gapisz?

– Przepraszam pana, nie chciałem przeszkadzać.

Zrobił krok w tył, ale nie bardzo wiedział, co ma począć. Znow się zawahał.

Tymczasem młodzieniec odwrócił się do kompanów i wybuchnął śmiechem.

– Nie chciał przeszkadzać! Szanowny pan nie chciał przeszkadzać. – Jego śmiech zabrzmiał fałszywie. Ponownie spojrzał na Claudiusa. – A więc nie warto ze mną rozmawiać?

– Skądże, ja...

– No, o co chodzi?

Claudius stracił cały rezon. Nadal się cofał, lecz stanął za nim jeden z kompanów młodego człowieka. Drugi zagroził mu drogę z boku, a jego rozmówca stanął tuż przed nim. Obie kobiety nagle gdzieś zniknęły.

„Może sprowadzą pomoc”, Claudius usiłował się uspokoić, ale wiedział, że to daremne nadzieje.

Pierwszy cios trafił go prosto w twarz, łamiąc mu z chrzęstem nos. Drugi powalił go na brudną ziemię. Gardło zalała mu mieszanina krwi i śluzu, krew ciekła też z ust i nosa prosto na koszulę. Próbował wstać, ale potężny kopniak wymierzony butem podkutym metalem sprawił, że znow znalazł się na ziemi. Krzyknął:

– Na pomoc, niech mi ktoś pomoże!

Jednak dookoła panowała cisza. Zawołał jeszcze raz.

– Stul pysk! – ryknął młody człowiek.

Potem posypały się kolejne ciosy i kopniaki. Na początku jeszcze próbował się bronić, ale szybko opadł z sił. Z każdego skrawka jego ciała promieniował ból.

– Pomocy – charczał niemal bezgłośnie. – Pomocy! Czy nikt mi nie pomoże? Pomocy, pom...

*

Tego dnia Mina długo nie wracała do domu. Większość uważała takie zachowanie za niebezpieczne, ale dla niej nie było lepszej rzeczy niż porwanie. Chyba nie istniało nic gorszego od tego piekła, w którym żyła, i nawet perspektywa uprowadzenia przez Indian pampy, choć słyszała o nich same najgorsze rzeczy, nie wydawała się taka straszna. Chodziły słuchy, że owo plemię żyjące na południe od Buenos Aires jest najokrutniejsze ze wszystkich innych. Podobno traktowali swoje kobiety jak niewolnice i kazali im chodzić w łańcuchach. Tamtejsi mężczyźni, kiedy akurat nie polowali albo nie rabowali, spędzali cały czas na picciu, hazardzie albo spaniu. Na ustach Miny pojawił się gorzki uśmiech – najwyraźniej jej ojczym i przyrodni brat też pochodzą z tego szczepu.

Ostrożnie zbliżyła się do domu. Zostawiła wcześniej uchylone okno w jednym z mniej uczęszczanych pomieszczeń. Teraz lekko je pchnęła, prześliznęła się przez otwór zwinnie jak kotka i równie zwinnie zeskoczyła na podłogę. Długo ćwiczyła się w bezgłośnym poruszaniu i doszła już niemal do perfekcji. Nikt nie był w stanie jej zauważyć, dopóki sama tego nie zechciała.

Na wszelki wypadek nasłuchiwała chwilę, stojąc w cieniu, ale wszędzie panowała cisza, jak gdyby w domu nie było nikogo. Wyszła z pokoju i znów nadstawiła uszu. Dalej nic. W kuchni panował już półmrok rozpraszany jedynie przez czerwonawą poświatę z pieca. Na piętrze rozległy się kroki, potem Mina usłyszała głos matki.

– Córeczko, to ty?

– Tak, wszystko w porządku, chciałam tylko się napić.

Przemknęła do kuchni, podeszła do dzbanka i nalała sobie pełen kubek. Potem oparła się o zlew i popatrzyła na marynarkę Philippa rzuconą niedbale na oparcie krzesła. Przez okno dostrzegła jego osiodłanego konia. Wygląda na to, że też właśnie wrócił.

Ponownie spojrzała na marynarkę. Poznała ją po lekko krzywym ściegu, jakim zacerowała rozdarcie. Philipp podziękował jej za to, rozcinając wargę. Jednak teraz coś innego zwróciło jej uwagę, ponieważ w kieszonce coś błysnęło.

Odstawiła kubek, nie upiwszy nawet łyka, podniosła marynarkę i sięgnęła do kieszonki. Złoty zegarek! Otworzyła szeroko oczy. To nie jest własność Philippa. Zawsze brakuje mu na wszystko pieniędzy. W żadnym wypadku nie byłoby go stać na taki zegarek. Nawet Xaver nie kupił mu dotąd żadnego, choć kochał syna. Ukradł go komuś? M u s i a ł go ukraść!

Mina z zegarkiem w dłoni odwróciła się i podeszła do pieca, aby w świetle ognia sprawdzić, czy na odwrocie znajduje się może jakiś grawerunek. CL – odcyfrowała z pewnym wysiłkiem artystycznie zakręcone C i wijące się wokół niego L.

Na zewnątrz rozległy się kroki. Mina podskoczyła i szybko wepchnęła zegarek z powrotem do kieszonki. Zanim drzwi się otwarły, zdążyła jeszcze przerzucić marynarkę przez krzesło i zniknąć w spiżarni.

*

– Do diabła!

Philipp stał w kuchni, nachylając się nad wiadrem z wodą i obmywając twarz z głośnym parskaniem. Kości dłoni były obolałe od zadawanych niedawno ciosów. Na skórze było mnóstwo

otarć i zadrapań. Cała koszula była poplamiona krwią. Krwia tamtego obcego, nie jego. Obcy krwawił jak zarzynany wieprz. Philipp spojrział na swoje wysokie buty. One też ucierpiały. Ściągnął z szyi chustkę i startł nią te obrzydliwe rudawe plamy. Nie mógł przestać go kopać. Mężczyzna z początku jeszcze krzyczał, potem tylko skamlał, a na koniec całkiem zamilkł. Philipp był jak w amoku, choć wcale nie czuł satysfakcji. Wreszcie któryś z jego przyjaciół odciągnął go, wołając: „Philipp, przecież go zabijesz!”.

Dopiero wtedy dał spokój swojej ofierze, ale było już za późno. Ten dobrze ubrany człowiek, który tak znenacka stanął mu na drodze, nie żył już od dłuższej chwili. Żaden z nich się nie zorientował. Umarł, tak po prostu. Co było robić...?

Zostawili go i uciekli. Pewnie to nie pierwszy trup, jakiego znajdą w tej uliczce. A Philipp i jego kompani jutro znów spotkają się na kartach. Nikt ich nie widział, a nawet jeśli było inaczej, to nikt nie odważy się pisać słówka.

Uśmiechnął się, gdy na widok skapującej po nim krwi zaświtała mu w głowie nowa myśl. Philipp usłyszał ciężkie kroki, drzwi się otwarły i stanął w nich ojciec.

– Już wróciłeś?

– Był wypadek – oznajmił mu krótko.

– Wypadek?

– Zostaliśmy napadnięci.

Xaver nie odpowiedział, więc zapytał:

– Mina już wróciła?

– Dlaczego pytasz? – Zgodnie z intencją Philippa w głosie ojca zabrzmiała podejrzliwość. Na swój sposób ojciec był bardzo przewidywalny.

– Widziałem ją dzisiaj z Frankiem Blumem – drążył tym samym tonem.

– Do stu diabłów, zabroniłem jej zadawać się z tym obdartusem. Chyba znów będę musiał dać nauczkę tej upartej pannicy.

Jakiś dźwięk kazał obu odwrócić głowy w stronę spiżarki, potem spojrzeli na siebie.

– Mina, słoneczko – zawołał Philipp. – Jesteś tam?

*

Szepnął ojcu, że mają ważniejsze sprawy do omówienia, więc nakrytej w spiżarce Minie Xaver wymierzył jedynie siarczysty policzek i zamknął ją w stodole. Potem wrócili do domu i usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole, postawiwszy na nim butelkę caña, wódki z trzciny cukrowej.

Philipp zwlekał. Jak ma powiedzieć o tym ojcu? Owszem, obaj byli zdania, że jeden taki ostatnio pozwala sobie na zbyt wiele. Widział też, że ojciec nie ma dobrego zdania o Franku. Zatem jeśli dobrze to zaaranżuje, upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu.

Po chwili zdradził ojcu swój plan. Xaver pokiwał głową i uśmiechnął się z uznaniem.

– Moja krew – powiedział. – Bez dwóch zdań, moja krew.

*

Coś wdarło się w podświadomość Franka, coś chyba nieprzyjemnego, choć na początku nie potrafił tego zidentyfikować – czyjeś kroki na drewnianej podłodze, podniesione głosy, potem krzyk, płacz matki, bezradny głos ojca. Zerwał się z postania.

To mu się nie śniło, to działo się naprawdę. Do domu wdarli się jacyś ludzie. Rozpoznał głosy Xavera i Philippa oraz ich kilku pomagierów.

– Zejdź mi z drogi kobieto, musimy zabrać twojego syna – usłyszał teraz Xavera.

– Ale on nic nie zrobił, panie Amborn. Frank to dobry chłopak. Był tutaj cały wieczór.

– Powtarzam, Irmelind, zjedź mi z drogi. Franka wcale nie było w domu, moi ludzie mogą to potwierdzić. A teraz weź przykład ze swojego męża i się odsuń.

– Chodź, Irmelind – odezwał się ojciec. – Nie rób problemów.

– Ale czego wy chcecie od mojego chłopaka?

Matka najwyraźniej nie miała zamiaru łatwo się poddać. Frank po cichu wstał z łóżka, szybko założył spodnie i zakradł się do drzwi, żeby wyrzucić przez szparę. Jego starszy brat Samuel, który był u nich od paru dni, także się obudził i spoglądał teraz na niego w osłupieniu. Frank przyłożył palec do ust. Głosy znów przybrały na sile.

– Irmelind, Frank zabił człowieka. Mamy na to świadków.

– To niemożliwe. On był tutaj, mój Frank był tutaj.

– Niestety, taka jest prawda. – Frank zobaczył przez uchylone drzwi, jak Philipp podchodzi do Irmelind i pokazuje jej zakrwawioną koszulę. – To znaleźliśmy na zewnątrz. To jest koszula Franka, sprawdziliśmy.

Frank odwrócił głowę. Gdzie jest jego koszula, gdzie...? I przypomniało mu się, że gdy skończył pracować w polu, uprał ją i powiesił, żeby wyschła. To rzeczywiście może być jego koszula.

– Ale... – Irmelind zająknęła się. – Uwierzcie mi, Frank nie skrzywdziłby nawet muchy. To taki dobry chłopak. A takie koszule nosi wielu...

Teraz odezwał się Hermann.

– Kogo niby zabił? Znamy go?

– A więc... – Xaver przesłonił swojego syna. – Zdaje się, że do Esperanzy przybył dziś Claudius Liebkind, a teraz leży martwy na posterunku policji.

Frank usłyszał okrzyk matki. Philipp wyszedł zza ojca.

– Wiedziałaś o tym, prawda? I powiedziałaś o tym synowi. Cäcilie powiedziała ci, że Claudius chce przyjechać, żeby się z wami pogodzić...

Irmelind znów krzyknęła.

– Nnn... nie – wyjąkała. – Ja nic nikomu...

Frank wiedział już wszystko. Na oczach zdumionego brata przemknął do okna, otworzył je bezgłośnie i równie bezgłośnie przez nie wyszedł. Bogu dziękować, żadnemu z tych durniów nie przyszło do głowy, żeby obstawić dom. Mógł więc uciec niezauważony. Po chwili zniknął w ciemnościach.

*

Mina zamrugała oczami, kiedy o świcie ojczym otworzył drzwi stodoły. Wieczorem słyszała, jak wrócili do domu. Obaj kompletnie pijani, więc rozumiała, że posiedzi tu do rana. Nie mogła też liczyć na matkę. Wprawdzie Annelie kochała córkę, ale bała się przeciwstawić mężowi. Zresztą to nie pierwsza noc Miny w stodole. Już się przyzwyczaiła. Szelesty, piski czy inne niezidentyfikowane dźwięki już dawno przestały ją przerażać.

– No, córuniu, wyspałaś się? – Xaver roześmiał się swoim metalicznym głosem.

Nie jestem twoją córką, chciała mu rzucić prosto w twarz, ale w ostatniej chwili się opanowała. W ślad za ojcem do środka wszedł również Philipp. Wyszczrzył się do niej tak złośliwie, że się przestraszyła. Xaver poklepał syna po plecach.

– Muszę już iść, chłopcze, to będzie długi dzień.

– Tak, ojczu, ja też zaraz przyjdę.

Przez chwilę Philipp patrzył na oddalającego się ojca, a potem spojrzał na Minę. Znów się uśmiechnął. Nagle znalazł się tuż obok niej. Wziął do ręki kosmyk jej włosów i zaczął go owijać

wokół palca, aż w końcu dziewczyna musiała zacisnąć zęby z bólu. Nigdy nie da mu tej satysfakcji, nie okaże mu strachu.

– Mina, moja droga, znasz już najnowsze wieści? Twój amant wziął nogi za pas.

– Kto? – Mina zamrugła, żeby ukryć zdradzieckie łzy.

– Frank. Frank Blum zabił człowieka i uciekł przed wymiarem sprawiedliwości.

Przeszedł ją dreszcz przerażenia, ale nie zdradziła swoich uczuć.

– Frank nikogo nie zabił – zaprzeczyła pewnym tonem.

– Zapytaj jego rodziców, najdroższa Mino. Frank zniknął. Czy ktoś niewinny uciekałby z domu? Tak czy owak zostałeś sama. Choć masz mnie, z chęcią zapewnię ci rozkoszne doznania, moja słodka.

Wzdrygnęła się. Przypomniała sobie, jakie spojrzenia rzucał jej Philipp od pewnego czasu.

– Jesteś piękna – powiedział, dalej się uśmiechając.

– Puść mnie! – syknęła.

Philipp poluzował nieco uścisk. A potem chwycił ją znienacka za kark i przyciągnął jej twarz do swojej twarzy.

– Jak było?

– Puść mnie!

– Pocałuj mnie.

– Nigdy.

– Jesteśmy bratem i siostrą. No dalej, maleńka, daj mi siostrzanego buziaka.

Mina próbowała odwrócić głowę, ale na próżno. Wargi Philippa zbliżyły się do jej warg i ich dotknęły, a jego natarciwy język wdarł się do jej ust. Miała ochotę splunąć, kiedy w końcu się od niej oderwał, ale on zacisnął jej szczękę, tak że nie mogła otworzyć ust.

– Czy to nie piękne, turkaweczko? Tylko pomyśl, twój amant zniknął. Teraz masz tylko mnie, a ja i bez tego jestem najlepszym kandydatem.

Znienacka ją puścił.

Mina natychmiast odskoczyła.

– Wynoś się, obrzydliwcu.

– Przynajmniej nie jestem zbiegłym mordercą.

– Frank nie jest mordercą.

– Uciekł, moja mała. Zabił mordercę swojej siostry i zwał. To się nazywa zabójstwo z zemsty, nie pierwsze i nie ostatnie na tym świecie, najśłodsza Mino.

W Minie wszystko zadygotało. Czy Philipp może mieć rację? Czy Frank naprawdę popełniłby morderstwo? Przecież nawet nie poznał swojej siostry, słyszał całą historię tylko z ust rodziców. Czy jej Frank naprawdę mógłby...?

– Przyzwyczaj się do tej myśli, odtąd jesteś sama.

Mina instynktownie podskoczyła. W jednym momencie załapa ją fala lodowatego chłodu.

*

„Claudius nie żyje”.

Nagle ożyły w niej wszystkie wspomnienia, jak gdyby tamte okropności zdarzyły się całkiem niedawno. Sceny przybycia na obczyznę, wysokie brzegi rzeki, ciemnoskóre postacie, lassa wijące się w powietrzu na tle błękitnego bezchmurnego nieba niczym węże. Obraz Vroni, jej jedynej córki, stojącej z uśmiechem na trapie razem ze starszym o dwa lata Claudusem. Razem ze wspomnieniami ożyły też emocje – niedobre emocje, strach o własne dziecko, który nigdy człowieka nie opuszcza.

„To tylko zabawa – powtarzała sobie w kółko, aby się uspokoić, to tylko zabawa. – Nic się nie stanie”.

Osiemnastoletnia Vroni i syn Liebkindów lubili swoje towarzystwo. Może nawet łączyło ich coś więcej. Irmelind spróbowała się uśmiechnąć. Potem w jej uszach rozległ się tamten krzyk. Niemal równocześnie oboje wpadli do brudnej, burej wody. Jej serce zatrzymało się na ułamek sekundy.

Mimowolnie przycisnęła obie dłonie do piersi. Stała w kuchni, ale jak żywe słyszała tamte paniczne krzyki i swój własny, coraz bardziej podniesiony głos: „Gdzie oni są? Gdzie oni są? Pomóżcie im, pomóżcie. Gdzie moja córka? O Boże, ona nie umie pływać, moja Vroni nie umie pływać. Pomóżcie jej”.

Potem nad powierzchnią wody ukazała się głowa Claudiusa. Młody człowiek chwycił powietrze i machał nerwowo rękami. A Irmelind stała, na próżno wpatrując się w lustro wody, które pomimo jej gorących prośb nie rozdarło się po raz drugi.

Ciało Vroni odnaleziono dopiero kilka dni później. Zemdląła, kiedy ją o tym poinformowali. Gdy się ocknęła, chciała zobaczyć córkę, ale jej nie pozwolili.

– Zachowaj ją w pamięci taką, jaką ją znałaś – powiedział jej wtedy Hermann. – Zapamiętaj ją właśnie taką.

– Claudius Liebkind – wyszeptała. – Claudius Liebkind.

Nigdy nie zapomni tego nazwiska. Pewnej mglistej nocy, niepełna dwa tygodnie po dotarciu na miejsce, opuścił dom rodziców. Od tego czasu nigdy go już nie spotkała. Do tej ostatniej wizyty Irmelind widziała się z Cäcilie, jego matką, może ze dwa razy. Nie, Irmelind nigdy nie robiła jej żadnych wyrzutów, choć odnosiła się do niej z rezerwą. Już nigdy razem nie zaśmiały się razem tak serdecznie jak podczas ich wspólnej niełatwej podróży. Ale wtedy jej Vroni jeszcze żyła.

– Vroni – szepnęła teraz. – Vroni.

To nadal bolało. Do jej oczu napłynęły łzy. Przesunęła po twarzy wierzchem dłoni. Właśnie dzisiaj Vroni skończyłaby

trzydzieści dziewięć lat. Zapewne od dawna byłaby już mężatką, a oni z Hermannem cieszyliby się z jeszcze większej gromadki wnucząt. Starszy o dwa lata brat Vroni od dawna miał dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę. Spotkania z nimi sprawiały Irmelind mnóstwo radości, ale nawet widok maleńkiej wnuczki przypominał jej o śmierci córki. Wiele razy się zastanawiała, dlaczego jej strata wciąż tak boli. Ale przecież Vroni była jej szczególnie bliska. Zawsze rozumiały się bez słów, jedna wiedziała, co czuje druga. Opowiadały sobie swoje sny. Razem się śmiały. Łączyło je coś więcej niż zwykła więź między matką a córką.

Od momentu śmierci ukochanego dziecka nadal wypełniała swoje codzienne obowiązki, ale jej życie się skończyło. Być może to nie było w porządku wobec bliskich, lecz Irmelind czuła, że coś w niej na zawsze umarło.

*

Zajęta cerowaniem odzieży Ambornów Mina siedziała razem z matką na werandzie. Jak zwykle, gdy mogła sobie pozwolić na chwilę spokoju, myślała o Franku. Przez ostatnie tygodnie nie pojawił się w żadnym z ich sekretnych miejsc, choć bardzo na to liczyła. Wielokrotnie sobie powtarzała, że Frank nie może zniknąć tak po prostu, nie może odejść bez pożegnania, nie powiedziawszy, gdzie znów się spotkają.

Szybko zaczęło huczeć od plotek. Jedni bez cienia wątpliwości uznali Franka za mordercę, inni byli zdania, że to absolutnie wykluczone.

– Tylko nie Frank – mówili. – Frank to dobry chłopak. On nigdy nie pobiłby nikogo na śmierć.

– A ta zakrwawiona koszula? – pytali inni.

Jak dotąd nikt nie wspominał o zegarku, który Mina widziała w marynarce Philippa i którego od tamtego dnia nadaremnie

szukała. Zakiełkowało w niej pewne straszne podejrzenie. A jeśli to Philipp popełnił tę zbrodnię? Jeśli to on jest mordercą? Wiedziała, że mógł się czegoś podobnego dopuścić. Ale jak miałaby tego dowieść?

Claudius Liebkind, który nigdy nie mieszkał z rodzicami w ich niewielkim gospodarstwie pod Esperanzą, został pochowany na tutejszym cmentarzu. Życie wróciło na swoje wcześniejsze tory. Jednak Mina czuła się straszliwie opuszczona. Jedyne człowiek, z którym mogła porozmawiać i snuła wspólne plany na przyszłość, który darzył ją czułością i dla którego coś znaczyła, zniknął z jej życia.

Frank.

Jak ma bez niego wytrzymać? Jak ma zostać tu sama i nie zwariować? Kto ją obroni przed Philippem?

W ostatnich tygodniach Mina przekonała się, jakie życie ją teraz czeka. Nie minął jeden dzień od ucieczki Franka, a ona dostrzegła w oczach przyrodniego brata coś, co ją przeraziło. Potem był ten brutalny pocałunek. W kolejnych dniach i tygodniach Philipp nieustannie ją napastował – łąpał za pośladki, całował w dekolt i ciągnął za włosy, kiedy próbowała przed nim uciec.

– Nie pozbędziesz się mnie – wciąż jej groził, szczerząc zęby. – Nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Mina robiła wszystko, żeby go unikać. Wiedziała, że sięga po to, czego ona nigdy nie da mu dobrowolnie. Wiedziała, że pewnego dnia sięgnie po więcej.

– Muszę stąd uciec – odezwała się do matki przez łyzy.

– Wiem. – Annelie nawet nie podniosła głowy. – Mogłabyś poszukać sobie jakiejś posady w Esperanzie – ciągnęła – przynajmniej do czasu, gdy wszystko się wyjaśni.

– Ty też nie wierzysz, że to Frank.

– Nie. – Matka podniosła głowę i popatrzyła na córkę swoimi pięknymi szarymi oczami. – To niemożliwe. To nie Frank. Frank to dobry chłopak. Nigdy by nikogo nie zatłukł na śmierć.

Mina zawahała się.

– Widziałam coś... tamtego dnia – powiedziała. – U Philippa.

Matka znów opuściła głowę, a jej igła z nicią powędrowała zwinnie pomiędzy płachtami lichego materiału.

– To był złoty zegarek – ciągnęła Mina. – Nie jestem pewna, ale na odwrocie były chyba wygrawerowane litery C i L.

Annelie nie odezwała się.

– Rozumiesz, mamó? C i L, Claudius Liebkind.

– Widziałas u niego później ten zegarek? – zapytała matka, udając, że jest skupiona na pracy.

– Nie.

– Ale potrzebowałabyś tego zegarka, żeby pomóc Frankowi? – zapytała Annelie.

– Tak, ja...

– Wiem, jak ci ciężko, ale nie wymagaj ode mnie, żebym pomogła ci w tym przedsięwzięciu – dodała szybko matka. Na jej twarzy malowała się mieszanina strachu i niechęci. Zawsze chciała dla córki jak najlepiej, a mimo to poniosła klęskę. Minie było jej żal. Życie nie jest łatwe, ale nadal mają siebie.

Annelie popatrzyła na córkę przenikliwym wzrokiem.

– Mino, to jest moje życie. Pomogę ci znaleźć jakąś posadę, ale jeśli chodzi o tę sprawę... O zegarek... Nie mogę. Nie mogę zrobić nic wbrew mojemu mężowi. Za bardzo się boję. Jeżeli będziesz chciała odejść, to ci pomogę, ale w tej drugiej sprawie... W tej drugiej sprawie nie. Choć bardzo mnie to boli.



Jak mocno trzeba kochać, by pokonać wszystkie przeciwności losu?

Franka i Minę połączyła młodzięcza miłość. Przyrzekli sobie, że jeśli kiedykolwiek los ich rozdzieli, będą się spotykać w Świąto Niepodległości na Plaza de Mayo w Buenos Aires. Co roku Frank czeka na ukochaną w umówionym miejscu, ale ona się nie pojawia. Czy tych dwoje ma szansę na upragnione szczęście? Na argentyńskich estancjach i ulicach Buenos Aires rozgrywa się historia miłości na przekór wszystkiemu i wszystkiemu.



W krainie srebrnej rzeki to drugi tom żywiołowo opowiedzianej sagi z zapierającą dech dziewiętnastowieczną Argentyną w tle. Sofia Caspari przeplata historie kilku kobiet – pełne dramatów i cierpień, ale też chwil szczęścia i rozkoszy.

Cena detal. 39,90 zł

ISBN 978-83-7515-346-0



9 788375 153460

E-book dostępny na

woblink.com

